



Wiesława Łapacz

Sygnatura notacji: N1235

Data urodzenia: 17.07.1930 r.

Data nagrania: 14.03.2018 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: Część I: 43 min, część II: 52 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski

część I z II



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesława Łapacz: Nazywam się Wiesława Łapacz. W tej chwili jestem wdową. Urodziłam się w 1930 roku, więc jak wybuchła wojna miałam dziewięć lat. A jak było Powstanie, już miałam 14 lat. Byłam już dziewczyną podlotkiem. Wszystko już rozumiałam. Byłam bardzo samodzielna, bo przed wojną moi rodzice mieszkali na Marymoncie. Zmieniłam adres dwa razy czy trzy. Urodziłam się na ulicy Barszczewskiej, natomiast moja relacja pochodzi z okresu, kiedy mieszkaliśmy na ulicy Skrzewskiej, kilka ulic dalej. Tata mój był szewcem. Miał warsztat szewski, ale nie taki, w którym reperowano obuwie, tylko miał umowy z fabrykami właśnie i dostawał zamówienia z fabryki. Miał sześciu pracowników w warsztacie i robili partię obuwia, wywozili, dostawali materiał z fabryki, albo od prywatnych jakichś dobrych. Wystawiane obuwie było na Nowym Świecie. To były naprawdę... Mój ojciec był dobrym fachowcem w tej dziedzinie. I z tego się utrzymywaliśmy. Muszę powiedzieć, że zupełnie nieźle nam się żyło. Pamiętam to, jako naprawdę dobry, pod względem materialnym, rodzice nie mieli żadnych z nami, z dziećmi, kłopotów. Bo jeszcze brat był mój, o dwa lata młodszy ode mnie, Waldemar. I jeżeli chodzi... Bo głównie chodzi mi o to, żeby podkreślić moje wspomnienia dotyczące naszych relacji sąsiedzkich z Polakami narodowości żydowskiej. Będziemy mówić „Żydami” po prostu. Mieliliśmy bardzo, od mojego dzieciństwa, bardzo ścisłe związki z Żydami, z obywatelami narodowości żydowskiej. Ponieważ, po pierwsze, mieszkaliśmy przez ścianę z rodziną żydowską, z którą naprawdę żyliśmy w przyjaźni, można powiedzieć. Powiem tak, że ten, on się nazywał Salek, Salomon, ten nasz sąsiad. Był akwizytorem. Chodził i jakiś sprzęt AGD tak zwany dzisiaj, a przedtem to takie były różne do gospodarstwa domowego rzeczy i jak miała wybuchnąć wojna w 1939 roku, on wiedział, co czeka Żydów. Przyszedł do mojego taty i powiedział: „Panie Kacprzak, niech pan weźmie ode mnie, co pan chce, z tych rzeczy, które ja mam teraz.” A tata mówi: „-No tak, ale ja przecież nie mam pieniędzy na to, żeby takie zakupy na raz. -Niech pan się nie martwi. Pan za to nie będzie pła-

cił. Niech mi pan wierzy, idą czasy, kiedy i nas nie będzie, i nie wiadomo, co będzie z wami, ale na razie niech pan bierze ode mnie. Daję słowo, że pan za to nie będzie płacił.” I tata wziął wtedy jakąś wyzymaczkę dla mamy, jakieś takie... O, bardzo cenne, teraz już nie mam, bo to brat zabrał. Plater. Tak zwane te sztucce, ale to było naprawdę z jakiejś fabryki takiej znanej i to było bardzo cenne. On poradził tacie, żeby to wziąć i że to na pewno tacie się opłaci, że przychodzili do nas, radzili się ci nasi sąsiedzi. Poza tym mojej mamy brat miał żonę, której dwaj bracia pobrali sobie za żony Żydówki. Czyli to tak jakby w rodzinie. Moja ciotka, znaczy żona mojego wujka, miała braci, którzy mieli żony Żydówki. Żyliśmy z nimi tak jakby normalnie. Jakby to byli dobrzy znajomi. Ocaleli. Całe te dwie rodziny, bo mieli dzieci, ocaleli. Byli ukrywani na Chmielnej, w samym centrum Warszawy i bardzo dobrze zrobili, bo tu było się właśnie najłatwiej ukryć. W takim właśnie mieście dużym, gdzie bardzo duży ruch był. Nie zwracano nieraz uwagi na jakieś tam odstępstwa. Więc mówię to o tych moich związkach. Aha, mama pracowała kilka lat w fabryce żydowskiej, w fabryce obuwia. Zarabiała nieźle. Zresztą tam są, jak na niewykwalifikowanego pracownika. Przedstawiałam zresztą tę książeczkę mamy ubezpieczalni. Wcale nieźle były zarobki. Wiem, że jak raz nas mama po wypłacie wzięła na Nalewki do takiego sklepu, to na raz kupiła mnie futerko jakieś na zimę, sobie płaszcz, bratu. Obkupiła z jednej pensji. Więc to musiała być pensja niezła. I dlatego to mówię, bo jak usłyszałam w tej chwili, co mnie skłoniło do tego, żeby mówić na tematy żydowskie? Że Żydzi oskarżają nas o to, że my, Polacy, byliśmy dla nich nieludscy, zamiast ratować, wydawaliśmy Żydów Niemcom, donosiliśmy do policji granatowej, na Gestapo. Twierdzą z całą stanowczością, że tam, gdzie ja mieszkałam, na Marymoncie i znałam wielu innych Żydów, to jest nieprawda. Będę zawsze, do końca swoich dni, mówić, że to jest po prostu potwarz. Nigdy Polacy się z tym nie zgodzą i będziemy świadczyć, bo to moje świadectwo uważam, że jest potrzebne, żeby w tej chwili zaprzeczyć tym kłamliwym potwarzom, kłamstwom, że Polacy byli dla Żydów po prostu źli, uważali ich za jakiś naród, nie wiem, jakiś inny, wart jakiegoś potępienia. Nie wiem, dlaczego. U nas, w każdym razie tam, gdzie ja żyłam, tego nigdy nie było. I tak, na potwierdzenie tego chciałam powiedzieć, że w czasie okupacji, w 1942 roku, tu już opieram się na moich bezpośrednich doświadczeniach w związku z ratowaniem Żydów. Pojawił się któregoś dnia mój brat, a u nas to było dwa kroki do Wisły po prostu, ta ulica. Zresztą ten dom stoi jeszcze mojego wuja. Z okien widać wał wiślany, Wisłę. Stoi, bo mój wuj był, Ksawery Nalewajko, bardzo gorącym patriotą polskim, był zresztą radnym dzielnicy Żoliborz i jako bezdzietne małżeństwo, chociaż miał dużą rodzinę, miał rodzoną siostrę, siostrzenicę, cały swój majątek, to znaczy, kamienicę i zbiory, bo miał zbiory. Zresztą ja trochę się przyłożyłam, bo chodziłam po rozbitych domach i książki, moje hobby to książki. Zresztą widać. Chodziłam, zbierałam książki i miałam nawet dosyć cenne książki. Wuj mój wyludzał ode mnie, bo znał wartość tych książek. Wyludzał tam za, na przykład puszkę kawioru, bo się znajdowało ten kawior na ogródku ze zrzutów, bo tam były zaraz obok nas zrzuty dla Powstańców, dla Warszawy. Na tym kawałku od Wisły do ulicy Kamedułów, przedwojennej. I myśmy potem znajdowali te puszki kawioru w ogródkach. Więc wujo, mówię o moim wuju Ksawerym Nalewajko, cały swój majątek przepisał na państwo. Oddał na państwo. Dom stoi, kamienica stoi. W tej chwili ma tam właśnie administracja. Ja tam chodzę czasem, bo tam przeżyłam Powstanie. I tacy byli Polacy. Tacy byli Polacy, że nie zagarniali, tylko oddawali swój majątek. I jeżeli trzeba było, pomagali. Trzeba było, to pomagali. I w tym momencie zaczęłam mówić o żydowskim dziecku. To był już chłopiec, 16 lat, który uciekł z getta i schronił się nad Wisłą. Wykopał sobie jamę, całą zimę tam przetrwał jakoś. Nie całą, bo on mówił, że on gdzieś po Bożym Narodzeniu uciekł z getta. I wczesną wiosną spotkał mojego brata, który tam biegał. I poprosił, był tak wycieńczony, wychudzony, obszarpany, że nie było wątpliwości, kto to jest. I prosił brata, żeby mu jedzenia jakiegoś przyniósł, bo on umiera z głodu po prostu. Brat przybiegł do domu, bo to było parę kroków,

dostał od rodziców jakiś chleb. My też mieliśmy wtedy w okupację bardzo ciężko. Bardzo, bo już tata nie pracował, mama pracowała do 1942 roku tam właśnie w tej fabryce żydowskiej, dopóki jej nie zamknęli, ale co mogliśmy, to co dzień mój brat nosił mu jakąś żywność. Tak wziął już sobie tego chłopaka, że tak powiem na barki, żeby go nakarmić. Po tym zaczęło się już, jak było lato, zaczęło się przyprowadzanie tego Bolka, on powiedział, że on jest Bolek, do mieszkania. Brat z nim po Marymoncie chodził, jakieś tam gry. Bawili się w sportowe jakieś gry. Tak że właściwie to nie było tajemnicy, że tu ukrywa się Żyd, kręci się po Marymoncie. Wiele osób wiedziało o tym. Nikt, żadna osoba z moich znajomych, z moich sąsiadów nie skalała się donosicielstwem. Chłopak przeżył. Nie wiem co w Powstaniu, jak po Powstaniu on się uchwalił. W każdym razie, kiedy myśmy wrócili bardzo wcześniej po Powstaniu na te stare śmieci, do tej kamienicy mojego wujka, który jeszcze nie wrócił. Myśmy byli pierwszymi lokatorami, którzy zajęli, a zajęliśmy jeden pokój, należący do mojego wuja, Ksawerego Nalewajko, ponieważ nasz dom, drewniak, kamienica piętrowa spaliła się. Na naszych oczach podłożyli właśnie ci Kałmucy, własowcy, podłożyli ogień i to się spaliło. A myśmy to wiedzieli ze schronu wykopanego w ziemi w ogrodzie, niedaleko. Wszystko na naszych oczach się działo. Ale ten dom wuja przetrwał i Bolek po Powstaniu wiedział, że my w Powstaniu przebywaliśmy tam, właśnie na tym terenie tego... To była ulica Smoszewska 9. Ten adres. I po Powstaniu, Bolek z plecaczkiem, jakaś zrolowana kołdra czy koc na tym plecaku, przyjechał do nas, zapukał pewnego dnia, mama mu otworzyła. „Bolek, dlaczego? Co się działo z tobą?”. Zaczął nam opowiadać, że gdzieś w Górach Świętokrzyskich się ukrywał przez Powstanie. Tak nam powiedział. W Górach Świętokrzyskich. Przyjechał i do nas pierwsze kroki skierował. Tak jak byśmy byli jego rodziną. Ale nie chcę tego mówić, bo nie chciałabym w tej chwili mówić o tym, co Bolek powinien zrobić, prawda, ale nigdy nie było mowy z jego strony. Ani słowa na temat Jad Waszem, że jakieś wspomnienie o nas się należy. Mało tego, oszukał mojego brata. Brat był w bardzo ciężkich materialnych warunkach po Powstaniu. Był dozorcą na Bródnie. Już nie pamiętam, to była ulica... Nie pamiętam w tej chwili, ale mogę sobie przypomnieć, bo mam adres brata gdzieś zanotowany. I bratowa nie pracowała. Bardzo źle im się powodziło. I jak Bolek wrócił tu... Bo chcę powiedzieć, że Bolek po tym wyjechał do Izraela. To już wiedzieliśmy, po Powstaniu. Jak wrócił, pokazał się, to po tym wyjechał do Izraela. Tam mu się nie podobało. Nie podobało, nie znał hebrajskiego, nie umiał się tam w tym Izraelu znaleźć. Tak nam powiedział. I wyjechał do Australii. Miał zresztą jakiegoś bogatego wujka w Wiedniu, który mu płacił za te podróże. I jak wrócił w 1986 roku, i zobaczył, że mój brat, zresztą chyba ja to powiedziałam, bo mnie akurat... Ten dom to jest nasz, ten, na którym tle to zdjęcie pan widzi. Teraz już znów zeszałam do prekariatu, że tak powiem. Ale ja nie potrzebowałam wtedy pomocy, ale powiedziałam: „Bolek, jeżeli możesz, to pomóż Waldkowi, bo on jest naprawdę w bardzo ciężkich warunkach”. Wie pan, co on powiedział? Aha, bo on mówił: „U was tu teraz tak tanio”, w 1986 roku. „Ja nie wiem, co ja mam z pieniędzmi zrobić. Ja tyle pieniędzy wzięłam na tę podróż, że nie wydałam tego, a ja wyjeżdżam niedługo. Ja nie wiem, co mam zrobić z tymi pieniędzmi.” A było to, proszę pana, w Pałacu Kultury. My z mężem na pożegnalną kolację, my, zaprosiliśmy Bolka, ponieważ on wyjeżdżał, uważaliśmy, że tak to ładnie jest zakończyć, prawda? Zaprosić na kolację znajomego z Australii. I wtedy już nie wytrzymałam, jak mi powiedział, że nie ma co z pieniędzmi zrobić. Wzięłam go pod pachę, wyprowadziłam tam w kuluary bo w Trojce mieliśmy tę pożegnalną kolację. Wyprowadziłam go w kuluary i mówię: „Słuchaj, opowiadasz takie rzeczy, że ty nie wiesz, co zrobić z pieniędzmi. Waldek ledwo koniec z końcem, chory”. Zresztą mój brat już na raka chorował wtedy. Umarł zresztą parę... Umarł w 1992 roku, a w 1986 roku był Bolek tu. I mówię: „Na miłość boską, jak ty nie wiesz, co masz z dolarami zrobić, to masz tutaj swojego przyjaciela, Waldka”. Wie pan, co on mi powiedział? „Ja już mu dałem dolara”. Tak powiedział. Tak powiedział. Wie pan, nie wiem. To jest ta wdzięczność? I jeszcze drugi raz, powiedział Waldek:

„To może ja bym ci coś tu załatwił?”. I my jak głupole woziliśmy go samochodem z mężem po ZBOWiD-ach, tam, przy Ogrodzie Saskim naprzeciwko, ten taki nowo wybudowany blok był wtedy. Tam był ZBOWiD. Woziliśmy go tam. „Wy tu usiądźcie na holu...”, w wielkich fotelach nas usadzał, „a ja pójdę, rozejrzę się, może coś załatwię dla Waldka”. Nic nie załatwił, bo on prawdopodobnie dla siebie coś załatwiał. „Nie, nic nie mogę. Widzicie, tutaj takie, ten”, myśmy tam siedzieli jak te barany w tych fotelach na holu. Czekaliśmy aż coś on bratu, może jakąś posadę, może jakiś dodatek do renty, prawda? W każdym razie tak ludzie sobie jakoś radzili. Myśmy nigdy nie umieli sobie radzić. I to taka była pomoc. Pan się pytał o Jad Waszem. My nigdy nie wystąpiliśmy z tym, bo uważaliśmy, że to jest jego obowiązek. Ciężko mi mówić o tym nawet. Jak mama pracowała tam w tej fabryce, to należała do pracowników Związku Skórzanego. To były lewicujące związki, jak teraz widzę. Bo chodziłam z mamą i z bratem na takie zebrania, jakieś związkowe. W każdym razie, proszę pana, na tych związkowych zebraniach recytowali jakieś wiersze, pamiętam. Jakaś tam była część artystyczna. I potem krzyczeli coś. Krzyczeli coś. A mój brat na Marymoncie wychowany, ale to jeszcze było dużo przed Bolkiem. To było przed wojną. Brat miał sześć lat. A ja miałam osiem, to było w 1938 roku, kiedy mama już zaczęła w tej fabryce pracować, a ponieważ tam bardzo silną pozycję miały te związki. Ponieważ nie chciała, chciała tę pracę mieć w tej fabryce. Chodziliśmy chyba ze dwa czy trzy razy. Chcę panu powiedzieć taką historyjkę żartobliwą. I oni coś tam krzyczeli. A mój brat wiedział, co się krzyczy przed wojną na Marymoncie. Wie pan, nie mogę tego zrozumieć, że przed wojną tak, a w okupacji nikt Bolka nie zdenuncjonował. Widzi pan, taka solidarność wtedy się w Polakach wyzwoliła. Zresztą Polacy wiedzieli, co będzie po Żydach, prawda? Że my będziemy po Żydach. I wtedy jak tam zaczęli krzyżeć coś, jakieś tam hasła, mój brat wyskoczył, bo siedzieliśmy na takich tego i krzyknął. Krzyknął to, co krzyczeli na Marymoncie, z czym on się... „Żydy do Palestyny!”. Matka pracowała u Żyda, byliśmy na zebraniu prawdopodobnie lewicującym żydowskim, a mój brat krzyknął to, co słyszał. Tak było. To ja muszę panu powiedzieć. Wie pan, Żydów właściwie przed wojną to się traktowało tak z takim pobłażaniem, bo oni byli dziwni, co tam dużo mówić. Oni po prostu byli dziwni. Jakieś kuczki sobie budowali, ale u nas na podwórku budowali te kuczki. Nikt im tego nie bronił. Śmieli się tylko ludzie trochę. „Salek, kuczka, kiedy kuczka będzie?”. Tak raczej drwico o tym mówiono, bo Żydzi odstawali, nie bądźmy tutaj, od naszej kultury. Oni mieli jakieś takie swoje zwyczaje dziwne. Helcia, siostra Salka, cały czas stała tylko w oknie i chleb czosnkiem sobie... To byli też nie-bogaci Żydzi. Chleb ona smarowała główką czosnku, żeby ten chleb mogła jeść, żeby pachniał. Tak że mam różne wspomnienia. Mam też wspomnienia od Żydów bogatych z Kanady, gdzie właśnie Marysia nas do swoich ciotek zawiozła. Zabraliśmy wtedy Freda, naszego przyjaciela. A w Kanadzie byliśmy, nocowaliśmy i nie tylko raz nocowaliśmy, tylko mieszkaliśmy u pana Chruściela, który zszedł z generałem Maczkiem. Płynął właściwie pontonem tu do nas z całą tą... To była Dywizja Generała Maczka czy...

Tomasz Sikorski: Dywizja pancerna.

Wiesława Łapacz: Dywizja, tak. Więc u tego pana Chruściela i jego kuzyn, Fred, z którym się bardzo zaprzyjaźniliśmy, chodziliśmy po Kanadzie, zwiedzaliśmy wszystko. I Marysia mówi, to... do moich ciotek, one tam mieszkały w Toronto, poszliśmy tam, wchodzimy do tych ciotek, a Fred mówi: „Gdzie wyście mnie przyprowadzili? Przecież to żydostwo, same żydostwo tu”. U pana Chruściela wisiał na honorowym miejscu jego mundur. Jego mundur, ten, który nosił tam u generała Maczka. Cały czas. Tomkowi, bo on był bardzo filigranowej budowy ten pan Chruściel. Niski był, ale jaki duch, to pan sobie... W takim małym ciele. Ponieważ Tomek wtedy miał, był równy prawie z panem

Chruścielem, a miał... W 1979 roku to było. Myśmy byli w Ameryce, jak papież tu był w Polsce, to myśmy byli w Ameryce. Tak. To proszę pana, przymierzał Tomkowi: „To chodź, Tomek, ja muszę ten mundur ci przymierzyć, zobaczyć, jak on wygląda na kimś, bo na sobie to nie widzę. Tylko w lustrze”. Proszę pana, jak oni nas przyjmowali, ci państwo Chruściel, to nie mam słów. Obcy ludzie, obcy ludzie. Romek był moim przyjacielem. Nazywał się Szlezyngier. Cały czas w szkole nazywał się Szlezyngier. Po tym jak w 1968 roku z Polski go wyrzucili, przybrał nazwisko Orłowski. Może żeby zaakcentować swoją polskość, prawda? Bo matkę znam, nie była żydówką. To była... W Jastrzębie... Jastrzqb. Z Jastrzębia. Gdzie była cementownia? W Wierzbicy, o. Koło cementowni w Wierzbicy ten Jastrzqb był. I proszę pana, Romek był bardzo zdolnym uczniem, potem studentem. Nawet prosił mnie, żeby jechać do Akademii Wojskowo-Medycznej do Łodzi, bo tam, jego, na ścianie jako prymusa, złotymi czcionkami, nazwisko jest. Nie pojechałam, bo nie. Poza tym ciągle mnie, jak wiedział, że... Jak tam byłam już i potem wiedział, że tu może coś przeze mnie załatwić, to ciągle mnie molestował, żeby z Michnikiem mu nawiązać kontakt, z Rudnickim, tym pisarzem. Adolf chyba, tak? Adolf? Adolf Rudnicki on się nazywał. Naturalnie nie chciałam być na posyłki i nie robiłam tego. Ale te ciągoty właśnie u Romka były do tego, w końcu jakaś ekspiacja, ja nie wiem, co to miało być, że on właśnie szukał tylko kontaktów z żydowskimi osobami. Potem, jak się ożenił z Marysią, już tu miał to stanowisko dyrektora ZOZ-u tak zwanego, ale nie mieli mieszkania. Nie mieli mieszkania. I tu też zazębia się wątek, który powiem, bo naszym z kolei też przyjacielem był Tomek Fedorowicz, brat tego Andrzeja Fedorowicza, aktora. Aktora, bo jest Jacek Fedorowicz, to nie, ale jest Andrzej Fedorowicz, który był aktorem. Grał w kilku filmach z Dobrowolskim. Bo Dobrowolski też był moim przyjacielem. Ten z kabaretu Owca. Skąd ja mam tylu tych przyjaciół? Ja byłam w szkole Orłąt Grunwaldzkich w Karpaczu. W Karpaczu. Zaraz po wojnie sieroty, półsieroty z Powstania wysyłano, tam zrobili taką szkołę Orłąt, słyszał pan kiedyś o tym? No, to właśnie. I tam właśnie nawiązałam te znajomości. Moim znajomym był Jerzy Huk, który był wiceministrem przemysłu maszynowego. Krzak Marian, to był mój bardzo bliski przyjaciel, minister kultury. Wtedy, kiedy Kopeć był w rządzie ministrem przemysłu, to wtedy to oni tam załapali się. I... O czym mówiłam przed tym, że...

Tomasz Sikorski: Że ten pani przyjaciel generalnie zadawał się z Żydami.

Wiesława Łapacz: Tak. Aha, że mnie tu próbował uruchomić, żebym ja biegła i tu przynosiła mu jakieś wieści z tego. Bileciki przeze mnie przesyłał do możliwych. On już wiedział, gdzie. Jak do Michnika mnie chciał posyłać. Już o Michniku to w ogóle szkoda. Proszę pana, ja tylko panu powiem, że jak był ten wybór, niby tak pierwszy, gdzie głosowaliśmy na tę listę taką, tych takich sędziów. To proszę pana, jak ja usłyszałam, że mimo wszystko oni zatwierdzili tę listę, którą Polacy odrzucili, wie pan, taka była lista kontraktowa w tych pierwszych wyborach w czerwcu, to ja natychmiast usiadłam i napisałam. Zginęło mi to, powyrzucałam, bo uważam, a to trzeba było trzymać, bo ja napisałam protest do Gazety Wyborczej. Prosiłam chyba Tomka, żeby zaniósł. Miałam pieczętkę, że oni przyjęli, że ja protestuję, że tak się nie robi. Jeżeli były ustalenia i naród nie wybrał, to należy listę odrzucić. To wtedy było to słynne Geremka „Pacta sunt servanda”, wie pan, pacta sunt servanda. Polacy nie chcieli, a oni wybrali tych. Ale ja tylko panu mówię to dlatego, żeby pan powiedział, jakie ja mam poglądy, jakie ja mam nastawienie do tego, co się dzieje, co się działo.

Tomasz Sikorski: Jakby pani była uprzejma jeszcze raz zapiąć tę historię tego przyjaciela Mariana.

Wiesława Łapacz: Tak. Więc Romek już jako Orłowy... Nie, zenił się z Marysią jako Szlezyngier Roman. Romu-

ald. I nie mieli mieszkania, więc Tomek Fedorowicz mieszkał blisko mnie. Ja wtedy mieszkałam na Zofii Nałkowskiej, a on na Żeromskiego 23. To było parę kroków. Ale miał dosyć, oni byli też bezdzietni, ci Fedorowiczowie i mieli taką alkowę. Malutkie to. Coś takiego było, taka wnęka, jak to. I zaproponowali, no, jeżeli nie... Właściwie to wystąpił Romek. „Słuchaj, z Marysią chcemy się pobrać. Nie mamy gdzie się podziać”. Więc tak, wesele się odbyło w tym mieszkaniu Fedorowicza, Marysi z Romkiem. Tej żydówki Marysi, z Romkiem. Potem mieszkali jakiś czas do wyjazdu w 1968 roku u nich w tej alkowie i proszę pana, jak on się odwdzieczył, ten Romek, już nie mówię o Marysi, Tomkowi Fedorowiczowi. To jest coś, dlatego mnie skłoniło to, żeby mówić o tym, że oni nam zarzucają, że my ich wydawaliśmy, że my ich traktowaliśmy źle. Jak oni nas traktowali. Oni nas zaczęli traktować już po tym 1968 roku jak jakieś, co im wielką krzywdę, wszyscy, wszyscy Polacy im zrobili wielką krzywdę. Romek zaczął dwa razy. Nie zaczął, tylko konkretnie dwa razy przyjeżdżał bez zaproszenia, tak jak do siebie, do Tomka Fedorowicza niezaproszony, bo mu, nie wiem, czy na hotel mu żal było, czy... W każdym razie ja się też z nim spotykałam tu, jak przyjeżdżał i w tej swojej alkowie tam się władował im, nawet tak jakby to było zupełnie naturalne, że on, tak jak Bolek, przyjechał z plecakiem do nas po wojnie. Tak samo właśnie ten przyjeżdżał. Ostatnim razem jak przyjechał, to wyciął taki numer. Zaczął, proszę pana, ja myślę, on był psychiatrą. Ja myślę, że to trochę psychiatrzy mają jakieś odchyłki. Zaczął chodzić na starówkę, dzieci kwiaty takie tam łąziły. Jak to się nazywało?

Tomasz Sikorski: Hipisi.

Wiesława Łapacz: O, hipisów zaczął sprowadzać do tego ich mieszkania i proszę pana... A, w mycce siadał do śniadania. Zakładał tę kipę i do śniadania siadał, żeby ich zdenerwować. W końcu któregoś dnia Tomek poszedł do pracy. On cały czas pracował w związkach zawodowych. I wie pan, zdziwiłam się, jak na pogrzebie Tomka zobaczyłam Olechowskiego. Byli bardzo zaprzyjaźnieni z tym moim kolegą. Kolega Olechowski z tym Tomkiem. Pracował na nowym zjeździe w tym Domu Związków Zawodowych. I proszę pana, któregoś dnia Romek poszedł tam coś, bo już na pół etatu wtedy pracował. Tomek poszedł do pracy, a Romek wywala walizę na środek pokoju i się pakuje. Więc Krysia, żona Tomka, mówi: „- Poczekaj, przecież... - Wyjeżdżam. - Jak to wyjeżdżam? - No, wyjeżdżam. Już wyjeżdżam. - Pozwól, że... Poczekaj aż przyjdzie Tomek, żeby pożegnać się.” Wie pan, co on odpowiedział? W dalszym ciągu się pakuje, powiedział: „Ani serca, ni ochoty”. Złapał walizę, poszedł, za drzwi wyszedł i... Rozumie pan to? Ani serca, ni ochoty. Jeszcze taką przyśpiewką zakończył. I wyszedł. Za to, że mu umożliwili odbycie ślubu, tego przyjęcia, dali łóżko, dali miejsce, kąt do spania. Ani serca, ni ochoty. I tyle my mieliśmy wdzięczności od tych Żydów.

Tomasz Sikorski: A Marysia?

Wiesława Łapacz: A Marysia, jak myśmy byli u nich, ja znajdę zdjęcia, może panu prześlę czy... Jak będę się już lepiej czuła, bo już trochę, jeszcze tylko z gardłem mam, to ja panu zaniosę jeszcze te zdjęcia takie prywatne z Marysią, z dziećmi. Tam, co byliśmy u nich. Zachowywała się wtedy, muszę panu powiedzieć, z rezerwą. Ale przy mnie nie pozwalała sobie, żeby wie pan, wygłupiać się i żądać ode mnie języka angielskiego. Nie. Przenocowaliśmy tam trzy noce, czy dwie noce. Czy dwie noce. On był wtedy dyrektorem bardzo dużego szpitala w Jackson. Szpitala więziennego. W Jackson jest bardzo duże więzienie, w Ameryce. I on tam pracował jako psychiatra, kierownik tego oddziału psychiatrycznego. Romek. Wtedy, jak myśmy byli u niego. I Marysia była taka, nie było u niej widać

takiej... Romek to starał się tam, chociaż... A pierwsze jego słowa, bo ja z Batorego zadzwoniłam do niego: „Słuchaj, będziemy w pobliżu.” Przecież myśmy nie do niego. Myśmy jechali do Meksyku. Chcieliśmy jechać bardzo długo z mężem do Ameryki. Ponieważ nam nie dawali, bo wtedy nie dawali w 1978 roku tak łatwo wiz, więc ktoś mądry nam doradził: „Po co bierzecie wizę do Ameryki, weźcie do Meksyku z tranzytem przez Stany”, prawda? I myśmy tak zrobili. I to się udało. Dwa miesiące mieliśmy ważną wizę. Zwiedziliśmy kawałek Meksyku i w Stanach byliśmy, i w Kalifornii. W wielu miejscach. I pierwsze... Jak Romek nas zobaczył, że my jedziemy do Ameryki, pierwsze: „A skąd wy macie pieniądze?”. Pierwsze pytanie. Nie ukradliśmy przecież. Dlatego nas może puścili, bo mieliśmy duży dom. Wie pan, zostawiliśmy tu coś, więc nas puścili. Mąż miał prywatną firmę. Prywatną firmę. A prywatną firmę założył sobie dlatego, żeby zrealizować swoje marzenie, o, tu co wisi, widzi pan. Kupił sobie samolot mąż. I to tylko go interesowało, żeby spełnić, bo mąż chciał być lotnikiem. Jako 19-letni chłopiec poszedł do Dębina na egzamin. Egzamin wypadł wspaniale. Niestety okazało się, że 19-letni chłopak ma wrzody na żołądku. A tu do prywatnej licencji takiej, nie potrzeba było aż takich obostrzeń i tak to wyglądało. I proszę pana, „- Skąd wy macie pieniądze? - No mamy.” Mamy, po prostu myśmy jeszcze pieniądze z Ameryki... My zawsze byliśmy minimalistami, że tak powiem, poza tym, że mąż sobie swoje marzenie spełnił. Ale my nie jesteśmy z tego rodzaju ludzi, że pieniądź ma dla nas znaczenie i pieniądź określa człowieka. Wręcz odwrotnie uważam. Bez pieniędzy bądź człowiekiem, prawda? Bez pieniędzy. To się liczy. I proszę pana, u tej Marysi i u Romka, Romek jeszcze z mężem jeździł. Samochód nam się zepsuł, bo takim kempingiem jeździliśmy. Kempingiem, bo tanio, bo mieliśmy swój dach nad głową, miałam kuchenkę, w której mogłam gotować, nie potrzebowałam. I to było, wie pan, nawet tak tam u niego, natomiast po tym, jak myśmy już wyjechali, jakieś pranie mózgow im zrobili, ta cała żydowska społeczność, że jak pojechała jego matka, ta z Jastrzębia. Znam tę kobietę, bo mój mąż odwoził ją na Okęcie, żeby Romek miał pewność, że ona dotrze. Bo to była już starsza kobieta, 70 parę lat. Już bardzo była, że tak powiem, schorowana. Ale on chciał ją jeszcze przed śmiercią, żeby z nią się zobaczyć. On jeszcze wtedy nie przyjeżdżał. Po tym przyjeżdżał. To było przed stanem wojennym. To był który rok, stan wojenny? 1982? 1981? 1981 i 1982 rok.

Tomasz Sikorski: | 1983.

Wiesława Łapacz: | 1983. Więc to było, ale niech pan posłucha. Zaprosił matkę, Janusz ją tam odstawił, pojechała. Miała być dwa miesiące, była dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Za dwa tygodnie Romek dzwoni do mnie: „- Wiesia, rób coś z Januszem. Odbierzcie matkę, bo ja ją wysyłam natychmiast do Warszawy. - Co się... - Ty wiesz, co się dzieje?” Myśmy jeszcze wtedy nie wiedzieli. „Ruscy stoją na granicy, będzie stan wojenny”. On nam to powiedział latem. Latem, bo ona przyjechała, pamiętam, spocona, w takiej bluzeczce lekkiej. Będzie stan wojenny, to on nie może matki tam zatrzymać u siebie. Pan sobie wyobraża? I tę matkę na, że tak powiem, w abcugach. Mąż pojechał, matkę wziął z lotniska, przywiózł do Michalina, bo wtedy w Michalinie mieszkaliśmy. W Michalinie, tak. W Michalinie. Przywiózł do Michalina, a z Michalina, mieszkaliśmy w Barczoncy, bo było blisko do lotniska, do Janowa. To tam mieszkaliśmy 30, no, mniej trochę, 20 lat. I proszę pana, i tę matkę wysłał. I co ta matka opowiadała? Że nie pozwolili dzieciom rozmawiać z nią po polsku. Nie mogła się z wnuczkami w ogóle porozumieć. Jak przychodzili znajomi, to matkę się zamykało, wie pan. W każdym razie matka była tak rozżalona. Tak rozżalona, że naprawdę żal mi było tej kobiety. On matkę szybko, bo się bał, że stan wojenny zrobią, ale skąd on wiedział o tym, kiedy my jeszcze nie wiedzieliśmy? To tak kreślę taki charakter.

Tomasz Sikorski: A relacje Marysi z jej matką?

Wiesława Łapacz: Z jej matką, z tą Polką? Nie, ustały jak ona dorosła już. Mnie się wydaje, że ona w ogóle nie chciała, o tej matce powiedziała: „Była wredna, krzyczała na mnie, biła mnie”. O, tak powiedziała Marysia o tej kobiecie, co ją uratowała. Więc w normalnej rodzinie się zdarza, że się dziecku kłapa przyleje. Chociaż teraz to nie wolno. Ja to miałam ścierkę. Bo ja miałam trzech synów. Ja musiałam coś mieć, jakieś narzędzie. Jak ściereczką tak trochę, wie pan, przywołałam do porządku, to było dobrze. Ale Marysia była... Nie chciała w ogóle o tej matce mówić.

Tomasz Sikorski: Znaczy o matce, ale o osobie, która ją przechowała, tak?

Wiesława Łapacz: Tak, tak, tak. To mnie bardzo źle usposobiło do Marysi. Nie chciała już tu przyjeżdżać. Przecież mogła przyjechać z Romkiem. I jak pojechała następnie po nas już moja koleżanka i Romka koleżanka, to powiedziała: „Dobrze, przyjmę ją w domu, ale po polsku nie będę z nią rozmawiać. Tylko po angielsku”. Więc tamta się wycofała w ogóle z projektu, że ich odwiedzi. Bo jakże tak? Od małego się znali, prawda? A potem nagle na angielski przechodzić? To trochę za wygórowane żądania.